



Grzegorz Gortat

# MUR

MUR



**Grzegorz Gortat**, urodzony w 1957 roku w Łodzi. Anglista, tłumacz, pisarz. Autor utworów różnorodnych tematycznie i gatunkowo (fantasy, kryminał, powieści obyczajowe, powieści dla dzieci i młodzieży), laureat nagród literackich (trzykrotnie wyróżniony w konkursie IBBY Książka Roku: w 2006 za powieść *Do pierwszej krwi*, w 2009 za powieść *Szczury i wilki*, w 2013 za powieść *Ewelina i Czarny Ptak*; w 2008 roku otrzymał nagrodę Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek za utwór *Do pierwszej krwi*). Dla młodszych czytelników napisał ostatnio *Moje cudowne dzieciństwo w Aleppo*; dochód ze sprzedaży książki w całości przekazywany jest poszkodowanym przez wojnę Syryjczykom.

Grzegorz Gortat

**MUR**

*JanKa*  
2017

Copyright © Grzegorz Gortat, 2017  
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2017

Wydanie I  
Pruszków 2017

ISBN 978-83-62247-55-4  
[fragment]



Zrealizowano w ramach stypendium  
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego  
na rok 2015

Jeżeli nie zdołają pojąć, że przynosimy  
im matematycznie bezbłędne szczęście,  
obowiązkiem naszym będzie zmusić ich do  
szczęścia. Zanim jednak chwycimy za broń,  
wypróbujemy potęgę słów.

Jewgienij Zamiatin, „My”

Każdy ma prawo do życia! Każdy ma prawo  
do szczęścia! Każdy ma prawo do śmierci!

Katalog Trzech Praw



Numer wspinający się przede mną po szerokich szczeblach drabiny ubrany był jak ja w płócienne buty i luźny biały kombinezon z gęstego płótna. Słońce prażyło, materiał na plecach i pod pachami zdążyły mu zabarwić ciemne plamy. Musiałem wyglądać podobnie. Próbowałem odgadnąć, czy to mężczyzna, czy kobieta. Nie żeby mi to było do czegoś potrzebne. Zwykła ciekawość. Szedł chwiejnie, krokiem nowicjusza. Łysy czerep szklił się w słońcu od potu. Dzieliła nas przepisowa odległość czterech szczebli. Bałem się, że nie utrzyma ciężaru, cegły zsuną się z nosidła i runą na mnie. Żeby nie patrzeć w dół, tam gdzie się zaczynała opasująca Mur szeroka wstęga szarej ziemi, zacząłem liczyć. Jeden, dwa. Jeden, dwa. Dwa to dobra liczba. Zbliżona do ideału. Z zadartą głową, ostrożnie pokonując kolejne szczeble, powtarzałem w myślach: jeden, dwa, jeden, dwa, jeden, dwa.

Z lewa i z prawa pięły się po przystawionych do Muru drabinach setki bliźniaczych postaci. W pokrytych pyłem białych kombinezonach, podobni do gigantycznych larw, wszyscy o bezwłosych czaszkach, pochyleni pod ciężarem cegieł równo ułożonych w drewnianych nosidłach. Pracowałem już cztery godziny i z utęsknieniem wyczekiwałem krótkich przerw, gdy po złożeniu na szczycie Muru kolejnej partii cegieł wślizguję się do kosza przypisanej mojemu sektorowi jednoosobowej windy, a ta ze skrzypieniem lin i jękiem drewnianych kołowrotów zwozi mnie z wysokości sześciu pięter na dół, zapewniając cenne sekundy odpoczynku, nim ponownie stanę na twardym gruncie i zamelduję się po nowy ładunek. Zazdrościłem szczęśliwcom, którym dziś wypadło pracować w pobliżu Wieży



Trzech Praw. Monolit o ścianach wyłożonych białym marmurem, zwieńczony iglicą z republikańską flagą Jedności, stał na północnych obrzeżach placu apelowego, niemal dokładnie naprzeciwko Bramy, i o tej porze dnia dawał nielicznym upragniony cień.

Dziwna rzecz. Ledwo zdążyłem o Wieży pomyśleć, gdy na jej szczycie zagrała trąbka, zwiastując południe i zmianę strażników.

Wtedy numer przede mną zrobił coś, czym ściągnął na siebie moją uwagę i przykuł spojrzenie strażnika z najbliższej wieży wartowniczej. Najpierw z wprawą, jakiej i ja mógłbym się od niego uczyć, zdjął, jak należało, ciężar z pleców i złożył na szczycie Muru, obok stosów cegieł czekających na budowniczych; zaraz potem jednak płynnym ruchem, jakby ściągał z siebie zbyt luźną skórę, uwolnił się od ubrania, na koniec zzuwając buty. Przez jedną krótką chwilę widziałem spodnią część jego stóp. Wypalone lub wycięte ostrym narzędziem, na wpół zabliznione rany odcinały się purpurą od bladej skóry podeszew, tworząc rysunek krzyża, znak, jakim handlarze bydła dawniej znakowali najsłabsze sztuki w stadzie, te przeznaczone na wybicie. Tym samym znakiem chrześcijańskie sekty przez wieki opatrywały swoje świątynie.

Strażnik właśnie zamierzał wpuścić zmiennika; cofnął się od metalowych drzwi wieży wartowniczej, szarpnięciem zdjął przewieszony przez ramię karabin i wycelował. Wstrzymałem oddech. Wyobraziłem sobie jego palec na spuście i z ciekawością, o jaką bym się nie posądzał, czekałem na strzał. Strażnik powstrzymał się jednak. Uruchomił przycisk syreny i z dziesiątków megafonów popłynął jękliwy, wdzierający się pod czaszkę dźwięk.

Numer odwrócił się do mnie twarzą. Pozbawione owłosienia ciało z klatką wystających żeber i dyndającym przyrodzeniem pod zapadniętym brzuchem. Mężczyzna. Napotkał moje spojrzenie. Uśmiechnął się, jakby właśnie na to czekał. Coś krzyknął, ale jazgot syreny zagłuszył słowa. Potem się odwrócił i zobaczyłem już tylko oddalające się plecy, kiedy w dwóch susach pokonał szeroki w tym miejscu Mur i skoczył.

Megafony zatrzeszczały i jeden po drugim, jak psy gubiące trop, ucichły. Wszyscy staliśmy tam, gdzie zastał nas alarm. Rozległ się zgrzyt pośpiesznie otwieranej Bramy i tupot nóg wybiegających strażników.

Niezadługo wrócili. Byłem pewien, że Brama zaraz się zatrzaśnie, a trup, skoro tylko obmyją go z krwi, jeszcze tego samego dnia zawisnie na placu apelowym. Nic podobnego się nie stało. Przy wtórze gwizdków usłyszałem głos Kapitana wydającego rozkazy. Zaterkotały silniki wojskowych samochodów i nawet do miejsca, gdzie stałem, dotarło popiskiwanie detektorów obracających się na dachach wozów. Zbierały sygnały tak, jak tropiące psy łączyły zapachy. Na dźwięk klaksonu kolumna ruszyła.

Słuchając, jak Brama się zamyka, a ryk silników oddala i ostatecznie zamiera, szukałem racjonalnego wyjaśnienia tego, co na własne oczy ujrzałem. Jakież człowiek przeżyłby skok z wysokości dwudziestu metrów na twardą ziemię? Widać jednak odniósł tylko obrażenia, i to niezbyt poważne, skoro o własnych siłach podjął ucieczkę.

Kapitan pozostał na miejscu, z megafonów popłynęły teraz jego rozkazy. Posłusznie wszedłem na ostatni szczebel i złożyłem nosidło z ceglami na szczycie Muru. Prostując zeszywniałe plecy, nie wiedząc czemu pewny, że tego dnia podobne wykroczenie ujdzie mi płazem, wybiegłem spojrzeniem na drugą stronę. Jak okiem sięgnąć idealnie płaski, pozbawiony roślinności krajobraz, którego sztucznej harmonii nic nie burzyło. Samochody krążyły nieporadnie po tej rozległej pustce, wolnej od głązów, strumieni, wzniesień czy uskoków, błyskając w słońcu antenami i co rusz zmieniając kierunek, z tej odległości podobne do wielkich owadów, obzartych i przez to nieco otępiałych.

Jednak udało mu się uciec, powiedziałem głośno, bo stojąc na Murze nie musiałem się bać, że ktoś usłyszy.

Wszyscy pojedynczo na plac apelowy, zarządził Kapitan.

Pojedynczo, powtórzyłem z przyzwyczajenia. Jeden to wszyscy, wszyscy to jeden. Nie mamy imion ani nazwisk. Mikroskopijna

płytką wszczepioną w kciuk lewej ręki zawiera wszystko, co Republika o każdym musi wiedzieć – od daty urodzenia w Laboratorium po aktualny stan zdrowia. Informacje można modyfikować, samej płytki jednak nie sposób się pozbyć, chyba że z kciukiem. Byłem pewien, że kiedy przywiozą uciekiniera – bo że go wytropią i sprowadzą z powrotem, nie wątpiłem nawet przez chwilę – kciuk będzie na swoim miejscu. Podobno dawniej się zdarzało, że zwierzę schwyte w sidła, dla ratowania życia odgryzało unieruchomioną kończynę; ale o dawnym świecie mówi się wiele dziwnych rzeczy.

Pojedynczo na plac apelowy, ryknął Kapitan. Zupełnie niepotrzebnie, bo ze wszystkich stron, porzucając narzędzia i pracę, ciągnęliśmy od strony Muru w długich, uporządkowanych szeregach, stopniowo dołączając do kolumn już ustawionych na miejscu zbiórki w karnym ordynku, twarzami do Wieży Trzech Praw. Nad placem łopotała biała flaga Jedności.

„Biała jak serce Jakuba Martensa, który nas stworzył, zrównał w prawach i obdarzył wolnością”.

Zmierzałem na swoje miejsce, powtarzając jak automat słowa szkolnej czytanki o białym sercu prezydenta Martensa. Równo stawiałem kroki. Jeden, dwa. Jeden, dwa. Dwa to dobra liczba. Zbliżona do ideału.

Kapitan zniknął na długo. Wrócił wystrojony w biały galowy mundur – oficerskie pagony, czapka ze złotym otokiem, kontrastujące z bielą spodni czarne oficerki, wyglansowane do połysku. Staął na skraju placu apelowego, bokiem do nas, ustawionych w czworobok, i z zadartą głową długo się wpatrywał w niebo, tam gdzie południowe słońce przebijało się mozolnie przez ołowiane chmury. Chusteczką otarł pot z czoła i ruszył, lustrując pierwszy szereg. Miał starą twarz czterdziestolatka, ale żyłaste, wysportowane ciało wciąż było mu posłuszne. Zatrzymał się i usłyszałem, jak jednego z nas pyta:

Wiesz, dlaczego tak stoicie?

Za karę, panie Kapitanie.

Dureń!

Budowniczo wie właśnie skończyli stawiać pod Wieżą Trzech Praw wysokie rusztowanie. Kapitan zgrabnie wbiegł po schodkach na sam szczyt.

Dzisiaj świętujemy! – zawołał.

Ręką dał znak orkiestrze dętej. Zagrała, a Kapitan zaczął śpiewać. Pod białą flagą, furkoczącą na wietrze, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, drobny na tle Wieży, radośnie zaintonował hymn Republiki. Jego entuzjazm i nam się udzielił.

Śpiewaliśmy o wolności. O najlepszym ze światów, w jakim przyszło nam żyć. Przegapiliśmy moment, gdy Kapitan zamknął usta, a potem, odwracając głowy, patrzyliśmy, jak marszowym krokiem zmierza do Rotundy, dwupiętrowego gmaszyska z czerwonej cegły, wzniesionego na wschodnim krańcu placu apelowego. Orkiestra ucichła i przez chwilę tylko nasze rozśpiewane głosy tłumiły stukot podkutych oficerek.

Strażników przybywało. Prężyli się jak na paradzie, wybiegając spojrzeniami na przemian to ku Bramie, to ku Rotundzie. Rozmawiali i dowcipkowali, na nas nie zwracali uwagi.

Mijały godziny. Przeszłowałem nerwowo z nogi na nogę, walcząc z narastającym bólem pęcherza i głodem. Próbując odwrócić uwagę, liczyłem do stu i zaczynałem od nowa. Parcie w dole brzucha przybierało na sile, pęcherz zrobił się twardy jak kamień. W końcu się poddałem.

Na tle wieczornego nieba Mur okalający obóz wydawał się jeszcze wyższy. Na chwilę nad poczuciem upokorzenia, zmęczeniem i głodem górę wzięła duma. Mur stał tutaj, zanim się narodziłem, kiedy mnie zabraknie, inni będą budować go dalej. Oblął mnie zimny pot, bo tuż za moimi plecami rozległy się ściszone męskie głosy:

Znajdą go.

Akurat!

Znajdą! Daleko nie mógł uciec.

Bałem się poruszyć, żeby strażnicy nie zaczęli mnie podejrzewać o łamanie zakazu prowadzenia rozmów.

Gdyby mieli go odnaleźć, już by tu był.

Znajdą, upierał się ten pierwszy. Zawsze znajdują.

Cień rzucany przez Wieżę Trzech Praw przesuwiał się, aż zajął połowę placu. Wraz z nadejściem zmroku włączyły się reflektory. Zaraz też zleciały się całymi chmurami owady. Jakby żyły w niewidzialnym świecie i tylko w takich chwilach decydowały się go opuścić. Kotłowały się wokół lamp, raz po raz przypuszczając atak na ich szklane osłony. Przyglądając się im, próbowałem sobie wyobrazić ptaki. Jeśli nie liczyć dawnych kronik filmowych, nigdy żadnego nie widziałem.

Pokazał się Kapitan na czele plutonu żołnierzy; minęli Wieżę i wzdłuż Muru kierowali się ku Bramie.

Otworzyły się drzwi Rotundy i ujrzelśmy Sędziego. Jechał odkrytym samochodem, rozparty na tylnym siedzeniu, dłonie opierał na metalowej lasce. Nawet siedząc, zdawał się górować nad nami wzrostem. Strażnicy stawali na baczność, przybijając obcasami, on jednak nawet na centymetr nie odwracał głowy, jakby oszczędzał siły. Rozmieszczone wokół placu kamery rejestrowały przejazd samochodu i na białej ścianie Wieży, powiększony do gigantycznych rozmiarów, wyświetlał się wizerunek Sędziego. Widziałem, jak bez wysiłku unosi ciężką laskę i dotyka pleców kierowcy. Samochód się zatrzymał. Sędzia dźwignął się z fotela.

Wszyscy znamy historię Samuela Millsa i jego dwunastu synów, powiedział.

Miał na sobie długą białą szatę. Połyskiwała w świetle reflektorów. Wiatr wzdymał jej szerokie rękawy.

Jedenastu synów Samuela było ojcu bezgranicznie posłusznych, ciągnął Sędzia. Dwunasty się sprzeciwił, sprzeniewierzył ojcowski majątek i na koniec ojca porzucił. Ale kiedy na syna spadły nieszczęścia, gdy u nikogo nie znajdował pomocy, a głód mu doskwierał,

przyznał się do grzechu pychy i powrócił do rodzinnego domu. Co zrobił Samuel? Przyjął syna pod swój dach. Wybaczył, dając przykład...

Przerwał mu dochodzący od Bramy warkot werbli. Hałas przybliżał się. Ze spowijającej obrzeża placu ciemności w jasny czworobok wytyczony światłem reflektorów wbiła się bryła ciężarówki. Na odkrytej platformie stał uciekinier, otoczony kordonem żołnierzy, nagi jak w chwili przyjścia na świat. Po bokach wozu maszerowali werbliści. Pochód zatrzymał się na wysokości rusztowania, z kabiny ciężarówki wyskoczył Kapitan i przystąpił do wydawania poleceń. Werble ucichły, żołnierze, zacieśnwszy kordon, sprowadzili uciekiniera na betonowy plac, a potem schodkami powiedli na szczyt rusztowania.

Sędzia już tam zmierzał. W sięgającej za kostki białej szacie nie tyle stąpał po ziemi, ile unosił się nad nią. Dwóch żołnierzy podało mu wieniec ze sztucznych białych kwiatów.

Kapitan nie odstępował go na krok, kiedy Sędzia wspinał się na rusztowanie, wchodził między rozstępujących się żołnierzy i nachyliwszy się nad nagusem, w świetle lamp podobnym do bezskrzydłej ćmy, zwabionej do płomienia, zawieszał mu wieniec na szyi, po czym, opierając na jego ramionach dłonie, całował uroczyście w oba policzki.

Wybaczam ci, rzekł Sędzia. Pchnął męczyznę prosto w łapy żołnierzy. Kochamy cię i wybaczymy, tak jak Samuel Mills wybaczył synowi marnotrawnemu.

Tamten szarpnął się i spróbował zrzucić z siebie wieniec. Uderzony przez kogoś z żołnierzy pięścią w wątrobę, opadł na kolana. Krótkimi haustami chwycił powietrze. W tym czasie operator podnośnika zamontowanego na platformie ciężarówki oderwał od ziemi pojemnik z hartowanego szkła; wywindowany wysoko, pojemnik zawisł tuż nad uciekinierem, przez chwilę kołysał się łagodnie, by wreszcie, naprowadzony przez żołnierzy, osiąść bezgłośnie na przeznaczonym mu miejscu rusztowania.

Więzień tkwił w szklanej osłonie niczym nieznanego gatunku ryba w wielkim akwarium. Werble ponownie zagrzmiały. Nie było słyhać, jak krzyczy, kiedy przez otwór w górze pojemnika szlauchem popłynęła woda.

Powiększony obraz z kamery zajmował centralną ścianę Wieży na całej jej szerokości. Nie mogłem oderwać od niego wzroku. Skazaniec górował nad placem, olbrzymi i bezbronny; kiedy woda sięgała już piersi, zaparł się plecami i nogami o ściany pojemnika, próbując go rozepchnąć. Miotał się, jakby wierzył, że gdzieś kryje się szczelina, przez którą zdoła się wydostać na zewnątrz. Nie poddał się nawet wtedy, gdy woda zakryła mu głowę i wypełniła naczynie do końca.

Wreszcie się uspokoił. Woda przestała się burzyć. Sędzia tymczasem zniknął. Kapitan uciszył werble, odesłał żołnierzy, a nam kazał się rozejść.





W *Murze* chciałem zwrócić uwagę na pewną umowność ról, jakie życie na nas nakłada. Mieszkający w obrębie Muru to trybiki, numery bez imienia i nazwiska, w sposób efektywny i niezawodny potrafiące tę maszynę wprawiać w ruch, ale jednocześnie, jeśli zajdzie taka potrzeba, zdolne wchodzić w rolę innych, co często wiąże się z wywyższeniem w hierarchii. Czy jednak to faktyczne dowartościowanie bohaterów? Przesuwani po polach szachownicy, wciąż są tylko bezwolnymi pionkami, trybikami, które maszyna w każdej chwili może zmiażdżyć.

*GM Sortat*

Okładka:  
Adam Walas

Zdjęcie autora:  
Wojciech Mandął

Redakcja i korekta:  
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:  
MJK

ISBN 978-83-62247-55-4  
[fragment]

Druk i oprawa:  
POLIDRUK Mirosław Szala  
Katowice

Wydawnictwo JanKa  
ul. Majowa 11/17  
05-800 Pruszków  
694 536 051  
[wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl](mailto:wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl)  
[www.jankawydawnictwo.pl](http://www.jankawydawnictwo.pl)

*Mur* to podsunięta czytelnikowi sposobność przyjrzenia się z dystansu pewnym mechanizmom, przestroga przed ich uruchamianiem. Przedstawiając kompletny świat, na pozór zupełnie różny od naszego, Grzegorz Gortat wprowadza nas do niego stopniowo; pozwala wraz z głównym bohaterem odsłaniać jego tajemnice, odzyskiwać utraconą pamięć i smakować emocje, robić w nim karierę i popełniać błędy. Podejmować ryzyko i wyrażać bunt, mierząc się ze skutkami tych zachowań. Czytelnik może się tu poczuć niczym w krainie zmyślnej komputerowej gry, w wyrafinowanej antyutopii lub też przeżyć *déjà vu*, wspominając czasy peerelowskiego socjalizmu, a zwłaszcza jego naczelną, choć nieobecną w praktyce zasadę, że człowiek jest najważniejszy. Czy w takim świecie jednak może on być rzeczywistym twórcą? Czy też, stwarzając wokół siebie przedmioty, nawiązując relacje i wymyślając idee, musi niepostrzeżenie zamieniać je w klatki, wtrącać w niewolę siebie i innych, mimo że od wieków tęskni za wolnością? I czy taki człowiek, i taki świat może przetrwać, czy też skazany jest na zagładę?



Cena: 34,00 zł

I SEN 978-83-62247-55-4

